ТYGODNIK WILEŃSKI.

N. 3.

Dnia 15 Lutego 1821 roku v. s.

HISTORYA,

Trzydziesto - cztéroletniey niewoli w Afryce Piotra Diumonta; napisana na iego żądanie przez J. S. Quesne.

Tłum. z francuzkiego, przez A. Żołkowskiego.

Piotr Diumont, syn furmana xięcia Gontaut, urodzony w Paryżu roku 1768; wypłynął z Brest w roku 1781, na flocie francuzkiey przeznaczoney do oblężenia Gibraltaru; w roku 1782. Diumont był w służbie P. Montmery, dowodzcy okrętu *Lievre*, zabranego Anglikom; kiedy straszna burza wyrzuciła pomieniony statek na brzegi Afryki, między Oranem i Algierem. Okręt ten, miał na sobie sto cztérdzieści ludzi, z których sześćdziesiąt zginęło w rozbiciu się, a ośmdziesiąt z wielką trudnością dostało się na ląd Afryki. Gdy się to działo, *Kubalowie* naydziksi z Arabów, z wysokości gór przypatrywali się skutkom tey burzy, i iak potok wpadli konno na rozbitych. Większą część tych nieszczęśliwych, pomordowali ci barbarzyńcy;

dowodzca Montmery, porąbany na sztuki w oczach wiernego i nieodstępnego Diumonta, który go napróżno ocalić usiłował; który pogrążywszy trzech Kubalów w morskich bałwanach, sam nakoniec uległ pod rzęsistemi razami pałaszów. Pozostało ieszcze w życiu trzydziestu Francuzów, lecz ci wszyscy mniéy więcey ranieni byli: przywiązali ich *Kubalowie* do końskich ogonów, i po ośmiu dniach podróży, przybyli z nimi do góry Felix, o sto mil za algierem, gdzie panuie Szeik Osman (Cheik Osman), do którego ich przywiedziono. „*Jakiego narodu iesteście?* Jesteśmy *Francuzi* — *Co? Francuzi!* zawołał Osman, *ludzie bez wiary, bez praw, złośliwi i djablom podobni, niech ich okuią w kaydany.* Rozkaz ten wnet wypełniono. Obdarto ich ze wszystkiego, okuto po dwóch w kaydany, ważące po sześćdziesiąt funtów, i wtrącono do więzienia iuż napelnionego dwóma tysiącami niewolników, którzy po większey części byli Europeyczykami. Miał natenczas Diumont lat cztérnaście. Więzienie to, iest budową rozległą, około którego, drapieżne zwiérzęta krążąc w nocney porze stadami, wydaią ryk okropny i przeraźliwe wycia. Liczna straż czuwa bez przestanku nad niewolnikami; i kiedy który z nich uczyni naymnieyszy szelest, strzelaią do niego z fuzyi nabitey grubą solą. Czaski z głów ludzkich, służą za naczynia tym nieszczęśli-

wym do czerpania wody ze strumyka, który płynie przez to więzienie.

Na świtaniu, większą część niewolników zaprzęgaią parami do pługa, wystawuiąc nagich na srogość słonecznego skwaru Afryki, i prowadzą często o pięć albo sześć mil od więzienia, uprawiać ziemię Szeiką Osmana, który do uprawy roli nie używa zwiérząt, lecz niewolników. Straż prowadząca te pługi, za każdém wyrzeczoném słowém do niewolników, niemiłosiernie ich katuie. W czasie pracy, Kubalowie uzbroieni stoią około robotników dla obrony ich od lwów i tygrysów, czyhaiących z różnych stron na ich pożarcie, które iednak, mimo pilność Arabów, dokazuią niekiedy tego, iż chwytaią czasem nieszczęśliwego niewolnika. Kubalowie maią zwyczay wyrzucać im starców, inwalidów i chorych, i kiedy te drapieżne zwiérzęta toczą z sobą walkę o szmaty ich ciała, barbarzyńcy ci, naygrawaiąc się, mówią: „*Czy widzisz tego Chrześciianina? Bóg go niezna, bo go dozwala pożerać.* Często nawet, kiedy przez bolesne razy zranią ciało tych nieszczęśliwych, i kiedy krew z niego wytryska, maczaią w niéy palec, i mówią niosąc go do gęby: „*Jak iest słodka krew Chrześciianina!*

Tacyto są ludzie, którym się młody Diumont dostał w niewolą; takie są prace i cierpienia, których przez lat trzydzie-

ści cztéry doświadczał, i których ieszcze do tego momentu doświadcza tysiąc pięćset Europeyczyków będących w więzieniu u Kubalów, równie srogich iak żyiące w jch iaskiniach tygrysy. Na samym wstępie okuto Diumonta w też same z Włochem kaydany, który się iednego dnia powiesił z rozpaczy. Barbarzyńcy maiąc w podeyrzeniu Diumonta, że się temu samobóystwu nie sprzeciwiał; zbiwszy go niemiłosienie kiymi, kazali za karę zanieść trupa na wierzcholek góry. Mieysce Włocha zaiął inny niewolnik, który gdy zachorował, został zastrzelony, czaszka zaś iego służyła Diumontowi za naczynie do picia przez lat czternaście. Przez cały czas swoiey niewoli, miał Diumont koleyno trzydziestu towarzyszów w łańcuchach, to iest: Anglików, Włochów, Hiszpanów, Portugalczyków, Holendrów i Niemców; co mu dało sposobność nauczenia się mówić z łatwością ich ięzykami, a prócz tego tak płynnie mówił arabskim, iak po francuzku. Lecz nigdy nie był w łańcuchy okuty razem ze swym rodakiem, gdyż Kubalowie maią za maxymę trzymać ich zawsze odosobnionych, z obawy żeby się nie zbuntowali.

Trudno iest poiąć, żeby siły ludzkie mogły znieść przez tak długi czas, tego rodzaiu cierpienia; i żeby się naystalsze męztwo, nie zachwiało? Diumont upewnia, że

skóra na iego rękach od ciężkiey pracy i chłosty tak stwardniała, iż mu z trudnością przychodziło, zamknąć ie nawet do połowy; i że miał podeszwy u nóg do tego stopnia zgrubiałe, iżby go można było okuć iak konia, bez naymnieyszego bolu. Lecz coto był za pokarm tych nieszczęśliwych, skazanych na tak ciężkie prace? Trzy kłosy na dzień tureckiey pszenicy! gdybyż przynaymniey nadzieia swobody utrzymywała ich dusze zwątlone!..... Na więzieniu Szeika Osmana możnaby umieścić podobny napis, iaki geniusz Danta umieścił na drzwiach piekła. Diumont powiada, że: „*Nie ma innego uwolnienia się sposobu nad nadzieię okupu: widziałem*, mówi on, *ludzi, którzy tam byli od lat sześciudziesiąt, nie czułych na wszelkie rodzaie nieszczęść. Starcy ci, oczekiwali spokoynie śmierci od karabinowéy kuli, i stania się pastwą żarłocznych lwów i tygrysów.*

Opatrzność iednak chciała, żeby Diumont i część iego towarzyszów, uyrzała ieszcze swą oyczyznę. Zbieg okoliczności niespodzianych zrządził to, że dway synowie Szeika Osmana wpadli w ręce Algierczyków, którzy zezwolili na ich zamianę za pięciuset Chrześcian; w liczbie których znaydował się przypadkiem Diumont; i przez samego Osmana w ręce nowych panów oddany został. *Odziano nas*, mówi Diumont, *i karmiono przez trzy miesiące bez naymniey-*

szey pracy. Ach! co to za roskosz! Zdawało mi się, żem w Chananeyskiéy był ziemi. Możnaż nazwać to szczęściem, gdy pomyślimy, iż tylko odmieniał kaydany!

Przez ośm miesięcy znośna była niewola w Algierze; lecz kiedy Lord Exmouth w miesiącu Sierpniu 1816 roku miasto bombardować i flotę w samym porcie zapalić rozkazał; wtenczas wyprowadzono wszystkich niewolników, w liczbie 1,500, i dano rozkaz milicyi tureckiey, żeby ich pomordowała. Zaczęto iuż spełniać srogi ten rozkaz; iuż trzydziestu dwóch niewolników zamordowano; kiedy zwyciężca wymógł na Algierczykach, żeby mu wszystkich Chrześcian w niewoli zostaiących, natychmiast wydali. Na skutek tego żądania, przybyły angielskie Szalupy, nieszczęśliwych zabrały, i tym sposobem od śmiérci ocaliły! Powiemy tu nawiasem, podług doniesień Diumonta, że przez czas krótkiey iego bytności w Algierze, wszyscy konsulowie europeyscy, bez wyiątku, byli okuci w kaydany.

Niepodobna opisać podziwienia Diumonta, gdy wsiadłszy na okręt Angielski, usłyszał mówiących piérwszy raz o rewolucyi francuzkiey, i o wszystkich wypadkach iakie zaszły w Europie od roku 1789. Diumont myśląc, że Ludwik XVI. ieszcze żył i panował; rozumiał z początku, że z iego łatwowierności żarty czyniono; w Neapolu nawet, gdzie go wysadzono na ląd,

ieszcze temu wiary nie dawał, i aż za przybyciem do Marsylii, o rzetelności tylu nowych dla niego wypadków, przekonania nabierać zaczął.

Stanął nakoniec na oyczystey ziemi. Ktoby nie rozumiał, że się tu skończą iego nieszczęścia? Lecz niestety! nie tu miał bydź koniec iego cierpieniom. Obdarzony Diumont od Pana Burset, ieneralnego konsula francuzkiego w Neapolu, ruszył w podróż z Marsylii z jednym towarzyszem swoiey niewoli; ledwo cztéry mile uszli, w tym napada na nich banda uzbroionych łotrów, którzy mniey czuli na ich nieszczęścia i na licznych blizn widok; obrawszy ze wszystkiego, oddalaią się, zostawuiąc im samo tylko życie. Diumont za przybyciem do Lugdunu utracił swego towarzysza; udał się sam ieden w dalszą podróż do Paryża, gdzie dnia 24 Stycznia 1817 roku, po trzydziestu sześciu latach niebytności, stanął. Biegnie na ulicę Anżu, kołacze do drzwi domu, gdzie niegdyś iego rodzice mieszkali, i pyta się o nich. Poglądaią na niego tego domu mieszkańcy, nie wiedząc czego się od nich domaga; dowiaduie się nakoniec, iak nieszczęśliwy Latud, że nawet imie iego w tym domu iest nieznaiomém. Tu przypomina sobie, że zostawił ieszcze w pieluchach siostrę; dowiaduie się o iey mieszkaniu w Nelly, biegnie tam, znayduie ią pogrążoną w nayokropnieyszym stanie nę-

dzy, owdowiałą z czworgiem małych dzieci, umiéraiących prawie z głodu. Biédna matka nie miała nawet łóżka, na którymby mogła spocząć. Wkrótce iednak wsparcie Sydney Smita i hrabi Artezyi (d'Artois), dopomogły mu do tego, iż mógł dać swoiey siostrze lichy przyodziewek i małe zasilenie w piéniądzach. Lecz źródło wspaniałomyślności iego bardzo prędko zostało wyczerpane. Bez przyiaciół, bez obowiązku, bez sposobu do życia, zwątlony na siłach długiém i okropném więzieniem, przyszedł sam do nayokropnieyszego stanu nędzy; którey bez uronienia łez opisać niepodobna! Diumont znaglony głodem i przywiedziony do ostateczności, przymuszony był, przez kilka miesięcy zbierać po rynsztokach rozmaitego warzywa obrzynki, które wyszedlszy za rogatki, chciwie zjadał. Nieszczęśliwy ten człowiek, powiada dziś z wyciskaiącą łzy czułością: *Francuzi są pełni ludzkości!* wówczas zaś, na łonie swey oyczyzny, doszedł do tego stopnia nędzy, iż kaydan i kubalskich kijów tak dalece żałował, że przedsięwziął powrócić do Afryki, lecz mu pasportu odmówiono. Na wspomnienie tych okropnych nieszczęść sama się natura wzdryga!

Nieszczęśliwy Diumoncie! któryś dla ran i udręczeń srogiey niewoli, w całém swém życiu, na iednę chwilę słodyczy szczęścia nie kosztował; na iakież politowanie nie

zasługuiesz!... Nakoniec nędzarz ten, dnia ostatniego Maja, w jmieniu ludzkości przyięty był do szpitalu *nieuleczonych* (incurables) gdzie się spodziewa znaleśdź szczęście, które mu dotąd z samego tylko nazwiska, znaiomém było.

Wartby był politowania ten, któryby po przeczytaniu historyi niewoli Diumonta, miał się ieszcze za nieszczęśliwego!

ALLEGORYA.

Na szczycie pobliskiey góry,
Rosnące dwa dęby razem
A harde z swoiey natury,
Są dumnych ludzi obrazem.

Pewne wzaiemney pomocy,
Za nic ważą losu groty,
Nie straszne im cienie nocy,
Ani gniewnych niebios grzmoty.

Trząsł ieden niebacznie głową,
Z spokoynym *Zefirem* w sporze,
Obrażał go dumną mową,
Swiadkiem były ranne zorze.

Mówił, złośliwymy iady
Truiąc płoche swe wyrazy,
„Ja szydzę z wiatrów gromady,
„Gardzę słabémi iey razy.

„Niech się w zabiegach wysili,
„Niech wszystkich sprężyn poruszy,
„Hardey mey głowy nie schyli,
„I nie ugnie stałey duszy.“

A tak więc dumna istota,
Sciąga gniew *Eola* dzieci,
Spadaią z zawias swych wrota
I cały tłum wiatrów leci.

Wprzód *Zefir* lekkiemi pióry,
Za nim *Boreasza* plemie,
Eurus, *Not*, dążą do góry,
Przewracaiąc wszystkie ziemie.

Już do dna wzburzone morze,
Zerwane z baszt i wież dachy
Dąb schylił głowę w pokorze,
Przed silnemi ich zamachy.

A gdy zbliska swe pociski,
I szturm, zaczęły wywierać,
Dąb się zrobił bardzo niski,
Trudno się było ucierać...

Kiedy przez czas trwa szturm długi,
Dąb miotany w różne strony,
Schylił się raz *ieden*, *drugi*;
I do *czwartego* zmuszony.

Lecz gdyby się giąć nie raczył,
Cóżby pozyskał szalony?

Zbytby się nisko obaczył,
Z wierzchołka góry strącony.
...... *Kaberelis.*

ALLEGORYA.

Przez tegoż

WĄŻ W NOWEY SKÓRZE.

Pokąd mrozami ziemia stężona,
W okowach były Dnieprowe wody;
Skryty wąż nie mógł rzucić iey łona,
Użyć wolności ani swobody.

Lecz kiedy wiosna w zielone szaty
Zaczęła stroić drzewa, murawy;
A skrzętny maytek, w odlegle światy,
Przedsiębrał płynąć rączemi nawy.

Ogrzan od słońca przyszedł do życia
Długim spoczynkiém wąż osłabiony,
I ledwo na wierzch wyszedł z ukrycia,
Nagłą odmianą został zdziwiony.

Postrzegł się z starey wyzutym skóry:
Nowa cętkami cała upstrzona:
Lustr iey nadała ręka natury,
Lsknił się od głowy aż do ogona.

Ośmiela siebie temi fawory,
Syka na ziemię gardząc iey względy
Lecz krótkotrwałe łaski są Flory!
Wasze tu ludzie maluię błędy....

Za zmienność iak się ziemia wypłaci
Ty tylko ieden wiesz o tém Boże!
Ale tém czasém wąż wiele traci.
A poźniey tego żałować może....

WIADOMOŚĆ O DZIELE.

Okolice Krakowa, *Poemat przez F. Wężyka. W Krakowie 1820 — 8vo stron. 63 przypisów i reiestru kart 4½.*

Nie obszérnością, lecz rzetélnemi przymiotami poemat ten się zaleca. Jest porządnie i z rozwagą ułożony, ma rozmaitość w opisach, ozdobiony iest pięknemi ustępami; nakoniec, miło go czytać dla poprawności stylu, czystości ięzyka, gładkości i powagi wypracowanego wiérsza. Treść poematu okazuie się z reiestru, przydanego na końcu xiążki. Obaczmy niektóre wyiątki. Opis Zwierzyńca temi się słowy kończy:

O drzewa, których widok wabił mię z daleka!
I was wkrótce, niestety! zgon niezbędny czeka:
Te wiekiem przycisnięte do ziemi konary,
Ten ogrom, co go ledwie pień unosi stary,
Te liście rdzą pożérczą i szronem okryte,
Sąto czarnéy przyszłości wróżby nieodbite. Str. 10.

Opis Bielan str. 11.

Gdzie tylko zwrócę oko, widzę kray wesoły.
Tu wszystkie w ieden powab zbiegły się żywioły:

Tu stalsza piękne niebo rozjaśnia pogoda,
Tu iest lżeysze powietrze, przezroczystsza woda:
Wyższość góry przedmiotom wyższości przyczynią,
Las panuie nad górą, nad lasem swiątynia.
Wnidźmy pod to wyniosłe z gęstych drzew sklepienie,
Jak poważne do koła osiadło milczenie!
Jak warowne schronienie od słoneczney spieki!
Tu drzewa, których pożyć nie zdołały wieki,
Godząc się bez oporu z posępną zaciszą,
Nigdy buynemi szczyty z szumem nie kołyszą.
Tu Wisła, u stop góry spokoynie płynąca,
Rzadko wody spienione o brzegi rostrąca:
Tu pod słodsze ustawy sama się ugina,
I zwyczayney swawoli chętnie zapomina.

Jaka iest rozmaitość w tych kilku opisach, po sobie następuiących:

Tu przez góry wiedziona rozlewa się rzeka,
Tam widok Niegoszowic uderza z daleka,
Daley wabi Rudawy posada wesoła,
Daley błyszczą skał dzikich obnażone czoła.
Tu zmianą ludzkich rzeczy, obok nizkiey chatki,
Stérczą grodu dawnego ponure ostatki.
Tam wreszcie, gdzie gór wyższość stopniami się zgina,
Miłych oku Krzeszowic iawi się dolina. Str. 20.

Zrzódła wody siarczaney pięknie są opisane, i mogą wytrzymać porównanie z podobnymże opisem w Ziemianinie Denalila (ob. Ziemianina pieśń III.) Wężyk nawet ma więcey ognia, i wystawuiąc obroń-

cę oyczyzny, który tam szuka ratunku, czuley przemawia do serca.

Na stronicy 24 ustęp o Tęczyńskim bardzo iest piękny dla mocy i ognia w wyobrażeniach, iakoteż dla doskonałości wydania i powagi wiérsza. Godne mieysce porównania z polowaniem na dzika w Owidyuszu, *w Metamor. xię. VIII.* W Saint Lamberta *Porach roku*, iest także opis polowania na ielenia, pięknie tłumaczony w Dmóchowskiego Pamięt. przez Wyszkowskiego: nakoniec, polowanie na ielenia znayduie się w Ziemianinie Delila, w pieśni I. Tym wszyskim, oryginalny opis naszego poety nie ustępuie.

Pełno iest powagi w opisie posępney Czerny. Str. 28.

Witay Czerno ponura! Twa dzika posada,
Nieznaną dotąd roskosz sercu zapowiada.
Tam, gdzie mało odmienne iawią się widoki,
Gdzie sam strumień kieruie pośpiesznemi kroki,
Gdzie z ścieszki wydeptana zniknęła murawa,
Tam naybliższa z Krzeszowic do Czerny przeprawa.
Już spostrzegam iey murów nierówne obwody:
Widzę ściany od bystrey przewrócone wody:
Wchodzę w wąwoz, przez deszcze głęboko wyryty,
Ten niegdys dwóch gór blizkich sprzeczne dzielił szczyty;
Dziś most słany z marmuru na nowo ie łączy:
Pod nim strumyk mrukliwy czyste wody sączy,

A walcząc bezprzestannie z mnogiemi zawady,
Spada niżey z łoskotem w kształt piękney kaskady.
Któżby rzekł, że ta woda zaledwie płynąca,
Często buki stoletnie z gór wyniosłych strąca?
Ze pławiąc na swym grzbiecie z grubych dębów łomy,
Roznosi blady postrach między wieyskie domy?
Gdy śnieg wskróś przeniknięty od słońca promieni,
Z twardych brył w płynne ciało nagle się zamieni;
Gdy się mgłą przyodzieią górne okolice,
A z chmur deszczem brzemiennych runą nawalnice;
W naywyższy pokład mostu szturmuią bałwany:
Ten w gruncie litym z głazu stoi niezachwiany.
A choć zda się na chwilę, iakby górne skały
Pokrewną rzekę Wiśle z wnętrzności wydały,
Przecięż z tych się zapędów dumny most naygrawa,
I strumień mrucząc wraca pod znaiome prawa.

Długo byłoby wyliczać mieysca, które albo żywą i obfitą imaginacyą, albo niepospolitym ogniem, albo wspaniałością opisów, albo prawdziwą poezyą ożywionych przedmiotów, albo nakoniec gładkiém zalecaią się wydaniem. Wszystko to mocniey się da uczuć w ciągłém czytaniu. Poeta oswoiony iest z dobremi wzorami: od lat kilkunastu już się dał poznać przez gładkie wyiątki tłumaczone z Eneidy; i znnieyszy poemat okazuie w kilku mieyscach spoufalenie się iego z Wirgiliuszem. Niemniey on czuł wartość Trembeckiego; i umiał z jego talentu korzystać.

Krótko mówiąc, poemat Wężyka, od osób maiących dobry smak, będzie zawsze mile czytany; a dla poczynaiących służyć powinien za wzór w sztuce pisania. Dzieło choć szczupłe, ale z takim gustem utworzone, i tak troskliwie wypracowane, daleko pięknieyszą autorowi sławę przynosi, i więcey bogaci literaturę, niżeli to niepoliczone mnóstwo pism oryginalnych i tłumaczonych, któremi dziś iesteśmy zarzuceni, a które na nic nie są przydatne, chyba na większe wyświecenie tey prawdy, że *można wiele pisać, a nie czynić żadnego postępu w doskonaleniu ięzyka i literetury.*

Kobiety, ich stan, i wpływ na społeczność w różnych starożytnych i nowożytnych narodach.

Z dzieła pod tym tytułém, w następnych numerach Tygodnika będzie się umieszczać treść rzeczy, lub całe wypisy.

Dzieło pod tym tytułem we trzech tomach przez Wikomta J. A. de Segur ieszcze dawniey wydane, teraz po iego śmiérci we cztérech przedrukowane i dodatkami pomnożone, zawiéra w sobie historyą, czém były i czém są dziś kobiéty; iakie we wszystkich wiekach i narodach miały znaczenie, i iaki wpływ na publiczne obyczaie. Dzieło o którém mówię, może bydź uważane (lubo w wielu mieyscach z ubliżeniem sprawiedliwości dla mężczyzn), za

twór czułego serca i delikatnego pióra; za naypięknieyszą dla *Płci pięknéy* pochwałę; za wiecznotrwały pomnik dla całéy drugiéy połowy ludzkiego rodu; bez którey (gdyby się nawet propagacya ludzka iakim cudownym sposobem utrzymać mogła) świat stałby się obrzydłém i naynieznośnieyszém więzieniém. A przecież droga ta połowa, któréy nasz byt, pierwiastkowe wychowanie, pomoc, pociechę i całe uszczęśliwienie winniśmy; która, od rządzącey światem Istoty, na żony, matki, gospodynie, panie, i mistrzynie drugich iest przeznaczona; którey, taż Naywyższa Istota przy naytkliwszém sercu, przy nayczulszey troskliwości, przy niczém nienagrodzonych trudach za macierzyńską pieczołowitość do lat przynaymniey dziesięciu lub piętnastu, powierzyła indywidualne toiest osobiste szczęście każdey w szczególności osoby, a w ogólności szczęście całych narodów; słowém, szczęście powszechne wszystkich bez wyiątku mieszkańców ziemi: a przecież, ieźli mi się ten wyraz powtórzyć godzi, droga ta połowa ludzkiego rodu, co do nayważnieyszego, nayistotnieyszego i nierozdzielnego od wielkiego iey przeznaczenia przedmiotu, w zupełném iest od społeczności zaniedbaniu. Smiém to mówić bez żadnéy przesady, że we wszystkich wiekach i narodach na edukacyą i instrukcyą kobiét, na moralne uformowanie ich serca, na skie-

rowanie umysłowych ich władz, i nadanie im dążności do pewnego cęlu, którym iest moralne ulepszenie człowieka i całych ludzkiego rodu społeczeństw, żadnego względu dotąd nie miano; żaden się rząd, żadna Akademiia, żadne uczone towarzystwo tém czynnie nie zaięło, żeby przyszłe żony, matki, obywatelki, miały dobre, iednostayne, i do wielkiego przeznaczenia swego stosowne w edukacyi przepisy.

Lecz powie mi kto, że niegdy w Sparcie, rząd troskliwie się zatrudniał wychowaniem oboiéy płci młodzieży: na to odpowiem, że rząd spartański stosownie do zasad ówczesney oświaty, stosownie do zasad swey konstytucyi, przepisał ścisłe prawidła i nadał dążność do pewnego tylko celu, w edukacyi młodzieży, która nie we wszystkich punktach do naszego wieku oświaty stosować się może. Bo któżby z nas życzył żeby iego siostra, córka lub krewna, w obecności licznego zgromadzenia nago w zapasy chodziła; żeby do szczętu obnażona gonitwy odbywała; żeby w tym rażącym przystoyność stanie, płoty i rowy rączo przeskakiwała? Lecz każdy z nas pragnie, żeby iego żona zdrową, czerstwą, silną i moralną była; żeby iey potomstwo z mlekiém zdrowie i rozlicznego rodzaiu cnoty z macierzyńskich piérsi wyssało; i w tym względzie rząd spartański wart uwielbienia, że chciał i umiał nadadź edu-

kacyi kobiét dążność do prywatnego i publicznego dobra; Spartanki były wzorem dobrych matek i obywatelek; cała Grecya ubiegała się chciwie o nianki spartańskie; bo w samey istocie, od matek, mamek i nianiek zaczyna się piérwsze skrzywienie rozumu niewinnego stworzenia; od nichto rodzą się w umyśle dziecięcia fałszywe wyobrażenia, z fałszywych wyobrażeń powstaią fałszywe sądy i zdania; a z tych, fałszywe wnioski i fałszywe rozumowania, których częstokroć w dalszym wieku, przy naywiększéy usilności, przy naybiegleyszych nawet mistrzów przewodnictwie i trudach, wykorzenić z umysłu niepodobna a przynaymniey nader trudna.

Po Spartanach, żadna się iuż społeczność, żaden rząd kraiowy, edukacyą kobiét troskliwie nie zaymował. Były wprawdzie w różnych kraiach, zwłaszcza we Francyi, pod panowaniem królów publiczne na koszcie i pod opieką rządu kobiécie *instytuty*, gdzie się płeć niewieścia pięknie edukowała, lecz z nich więcey wychodziło zgrabnych dworek niż dobrych żon i matek; bo dążności do celów, do których kobiéty są stworzone, nadadź tym instytutom zapomniano, albo raczey nigdy o iey potrzebie nie pomyślano. W tém zjawia się piekielny potwór, rewolucya.... Nikną naybawienniejsze edukacyyne zakłady. Rzeź, mordy, pożogi! Coto za okropny wygóro-

wanych namiętności ludzkich obraz! A przyszłożby do tego, gdyby Rządzcy i rządzeni, wyssali z piérsi matek, które są ich piérwszémi mistrzyniami, miłość sprawiedliwości, miłość społecznego porządku, miłość bliźniego, iedném słowem dążność do dobrego? Nie znały iey same matki i nianki i dla tego udzielić iey innym nie mogły.

Gdy się ten okropny wulkaniczny wydmuch nieco uspokoił; nowy Francyi rządzca, przywrócił niektóre dawne edukacyyne kobiécie zakłady, a szczególniey trudniące się przyniesieniem ulgi dla cierpiącey ludzkości nayszanownieysze zgromadzenie Siostr Miłosierdzia, pospolicie u nas Szarytkami zwane: nadto, tenże rządzca ustanowił i uposażył zgromadzenie pod nazwiskiém, Damy Sierot, zgromadzenie czyniące roczną professyą, iż się całkiem edukacyi panien poświęci. Zgromadzénie to, miało iuż sześć domów z klauzurą czyli klasztorów, i 600 panien edukowało. Żyiąca dziś Pani Campan, była na czele Instytutu panien legii honorowey, gdzie się zasłużonych w boiu oficerów córki edukowały. Lecz we wszystkich nowego porządku instytutach, militarną dążność zachowano.

Były i są do dziś dnia po różnych kraiach, i u nas żeńskie klasztory, w których się płeć niewieścia za piéniądze i bez piéniędzy toiest na dawnych funduszach wspa-

niałomyślnych ludzi, ladaiako a zatym bez dążności edukuie. . . . .

Prócz klasztornéy od prawdziwego celu zboczney edukacyi, są u nas pensyami zwane instytuty, w których prywatne osoby kosztém uczennić zatrudniaią się edukacyą, za wiedzą i pozwoleniem edukacyyney władzy, niemaiącey atoli prawdziwie czynnego wpływu na nadanie dążności tego rodzaiu zakładom. Instytutów tych, iest w samém Wilnie koło dziewięciu, z których ledwo trzy lub cztéry, maią pewnieyszą dążność, bardziey zależącą od daiących lekcye nauczycieli, niż od Instytutorek. Reszta po większey części iest spekulacyynym zakładem, mało dbaiącym na to, iakie z młodych Polek będą żony, matki, obywatelki; iakie gospodynie, iakie dla sług i poddanych panie, iakie sąsiadki i przyiaciółki; byleby uczennicé były lingwistkami; byleby się na mitologicznych awanturach doskonale znały; byleby w misterném biegłych tancérek rzemieśle, celowały.

Lecz któż żądaną dążnośé tego rodzaiu Instytutom nadadź może? Władza edukacyyna, przez użycie służących sobie środków, mianowicie przez założenie publicznego dla Guwernantek Instytutu; przez przepisanie dobrych prawideł; przez napisanie xiążek elementarnych, których u nas wiel-

ki iest niedostatek; przez nadanie opieki exystuiącym iuż instytutom; przez przedstawienie do nagrod zasłużonych w społeczności instytutorek. Bez tych, zdaie mi się środków, zawsze iak bobry iednostaynym klecić będziemy sposobem; edukacya kobiét zawsze iednostayny skutek i wpływ na publiczne społeczności obyczaie mieć będzie

Przez Zero.

ŻALE MIESZKAŃCA NIEZALUDNIONEY WYSPY, KTÓREGO TOWARZYSZ UMARŁ.

z Niemieckiego.

Dopiéro iestem tu ieden, stary i słaby, bez pomocy, bez towarzysza. Brat móy, który był długo spólnikiem mych cierpień, umarł, i samotnie porzucił mnie biédnego. Ach, iakże mi tęskno! Co za przerażaiąca na około mnie cichość! Drżę przed dalszém życiem na ziemi. Serce moie w udręczeniu, żebrze litości .... Kiedyż się pasmo dni moich zakończy? Ach wkrótce, wkrótce! Już się widocznie chyli ta znikorna lepianka moia. Oko moie przyćmiło się i niepatrzy iuż na roskoszne w koło mnie strony; ucho nie słyszy iuż szmeru strumieni, ani śpiéwu ptasząt po lasach. Głowa nachyliła się ku ziemi, a noga chwieie się pod ciężarem ciała. Drżącą dłonią pochowałem zmarłego brata. Jakże ręka moia pozbawio-

na siły! Ledwo mogłem mu oddać tę ostatnią posługę. Któż ciało moie ziemią przykryie? Ach, zniszczeię na otwartém powietrzu a słońce wyciągnie wilgoć z ciała moiego. Od stworzenia świata nikt zapewne ze śmiértelnych nie postał nogą na tey dzikiey wyśpie; mogęż się spodziewać żeby mi kto przybył na pomoc? Nie, nie miey nadziei nędzniku! Kładniy się do mogiły, umiéray, i gniy pod gołém niebem!

Kraino rayska, po co cię Bóg stworzył? Dla lesnego ptaka, czy dla iagnięcia które się na łące pasie? Złoto w strumieniu, perły w morzu, kogoż wzbogacicie? Wy świetne skarby, zgromadzone przy mnie w bryłach złoto, od wieków zebrane tu perły, póydźcie, sprawcie ulgę memu sercu! dostarczcie mi wody, gdy będę konał na śmiértelném łożu, lub towarzysza, któryby mi otarł pot z czoła w godzinę śmiérci! Cóż, nie możecie? Nędzny błyszczący prochu, po co się ludzie ubiegaią za tobą! Póydźcie wy głupcy! Pomieszkaycie samotni i opuszczeni w tém ustroniu, byście wartość waszych bożyszcz poznali. Któż będzie dziedzicem naszym? Czas, wieczność! Ta zębem swoim powoli gryźć będzie skarby nasze, nim te iak i my nie zniszczeią. Wtedy stleiesz i ty wspaniała ziemio, stleie wszystko co iest ziemskiego! Ale ty nieśmiértelny móy duchu, unieś się ku swemu Twórcy, w którym iest zrzódło wszelkich roskoszy! Piérwsze życie

twoie było śmiércią, drugie iest obudzeniem się ze snu śmiérci, iest z niewypowiedzianych cierpień wybawieniem.

Andrzey Klimaszewski

SZARADA.

Składa mię siedm znaków, a nie iestem tworem,
Nie wszystkim służę zdrowym, a zaś nigdy chorym,
Nie sama przez się rosnę, a mam dwie połowy;
Urastam, przecież nie mam ani nóg, ni głowy.
Z mych cztérech zwiérze naywiększe na świecie,
Piąta iest samogłoską, znaydziesz w alfabecie;
Dwie ostatnie, ten wyraz nierazny składaią,
Którego przy oddaniu często używaią;
Moie całe w zwiérzynie nawet królom daią,
Przecież mię panny, Turcy, żydzi nie iadaią.

Dozwala się drukować z warunkiem dostawienia do Komitetu Cenzury ośmiu exemplarzy dla miéysc prawem przeznaczonych Dnia 14 miesiąca Lutego roku 1821.

X. *Jędrzey Kłągiewicz K. P. P. Z. Czł. Kom. Cenz.*